



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-020 Warszawa, Aleja Słanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

CHAS KRAKOWSKI
ul. Pijarska 9
31-015 KRAKÓW

Nr 36 z dn. 18 - 07 97

W teatrze 26 Kabaretowe perły

Po czterogodzinym holdzie, złożonym sztuce w ubiegłym tygodniu na premierze „Fausta”, postanowiłem rozzerwać się i dać także chwilę wytchnienia Czytelnikom. Teatr nie musi przecież roztrząsać wyłącznie spraw ostatecznych. Powinien od czasu do czasu bawić publiczność i to bawić dobrze: ambitnie (ale bez przesady, aby nie zanudzić), bez schlebienia rozpowszechnionym dziś — głównie dzięki telewizyjnej tandecie — kiepskim gustom oraz bez szarżowania w celu wymuszenia śmiechu i oklasków.

Wszystkie te warunki spełniają „Perły kabaretu Mariana Hemara”, wystawione przez Teatr Ludowy na Scenie „Pod Ratuszem”. Spektakl przygotował Janusz Szydłowski z „polskiego Londynu”, dobierając znakomitą obsadę. Idealnie „trafiona” scenografia jest dziełem Elżbiety Krywskiej, choreografię opracował niestrudzony Jacek Tomasik, a sukces muzycznej strony przedstawienia zawdzięczamy Jerzemu Kluzowiczowi. Warto wspomnieć, że muzyka rozbrzmiewa na żywo, co zdarza się dziś w polskich teatrach raczej rzadko, ponieważ pociąga za sobą spore koszty. Dyrektor Jerzy Fedorowicz postanowił jednak nie oszczędzać i chwalił mu za to, gdyż akurat w tym przypadku podkład muzyczny z taśmy byłby zgrzytem, obniżającym wartość kabaretu.

Można oczywiście dyskutować z reżyserem (a nawet wybrzydząć), że w niespełna półtoragodzinnym spektaklu znalazły się właśnie te, nie zaś inne piosenki; każdy wybór jest jednak arbitralny. Szydłowski zrezygnował z wszelkich podtekstów politycznych (a było ich u Hemara sporo), stawiając na humor obyczajowy i sentymentalne wspomnienia poety z lat jego młodości. Ta druga warstwa przedstawienia nie przekonała mnie do końca — powiem więcej, niekiedy byłem trochę znudzony i to nie z winy aktorów.

Jeżeli ma się do dyspozycji Martę Bizoń, Ewę Kaim, Bożenę Krzyżanowską, Rafała Dziwiśza i Jacka Romanowskiego (nie zapominając o prowadzącym wieczór scenarzyście i reżyserze), można zdziałać bardzo wiele w kabaretowym rzemiośle. Pragnę tu przywołać francuskie pochodzenie słowa „rzemiosło”, wy-

wodzącego się z tego samego rdzenia, który dał początek pojęciu „sztuka”. Największe brawa za służenie zebrał najbardziej doświadczony z prezentującego kabaretowe perły Hemara zespołu — Jacek Romanowski. Pamiętam, jak po raz pierwszy występował w przedstawieniu, wymagającym odeń nie tyle jakichś umiejętności wokalnych. Był to reżyserski dyplom Tadeusza Bradeckiego: „Biedni ludzie” Fiodora Dostojewskiego (w 1983 r.). Wraz z Markiem Litewką śpiewali cudoownie i od tej pory zawsze z przyjemnością oczekiwałem na przedstawienia z piosenkami w ich wykonaniu. Romanowski pokazał „Pod Ratuszem”, że potrafi stworzyć kompletną kreację kabaretową: słowem, śpiewem, gestem, ruchem, spojrzeniem. Wszystkie elementy pasują do siebie, nic nie jest ani przesadzone, ani niedociągnięte. Po prostu przyjemnie patrzeć i słuchać.

Wiele obiecywałem sobie po występie Marty Bizioń. Podczas lutego koncertu jubileuszowego 70-lecia rozgłośni Polskiego Radia w Krakowie tak wykonała w Teatrze im. Słowackiego „Don't cry for me Argentina”, że sam Lucjan Kydryński powiedział: „Madonna, gdyby miała dobry dzień, może też by tak zaśpiewała — ale nie jestem pewny”. Po takim komplemencie poprzeczka dla Marty Bizioń została zawieszona bardzo, ale to bardzo wysoko. I ona wcale nie zamierza jej strącać, aczkolwiek tym razem jedynie w piosence o zgubionym pierścionku wzniosła się na wyżyny swego talentu, będącego jak diament, który systematycznie poddawany jest przez nią żmudnemu procesowi szlifowania.

Pozostali artyści niech mi wybaczą, że poświęcę im jedynie kilka słów, ale za to wielkiego uznania. Wszyscy byli w świetnej formie wokalne i aktorskiej, każdemu reżyser przydzielił odpowiedni dla jego emploi „popisowy numer”, wzbudzający entuzjazm wśród widzów. Trochę tylko żałuję, że Szydłowski nie chciał zaprezentować więcej dowcipnych scenek zbiorowych, które najwyraźniej podobały się publiczności o wiele bardziej, aniżeli sentymentalne piosenki.

JERZY BUKOWSKI

PRZEKRÓJ

31-012 KRAKÓW

ul. Reformacka 3

Nr 29 z dn. 07-97

26

notatki KULTURALNE



Od lewej: Jacek Romanowski, Bożena Krzyżanowska, Marta Bizoń, Rafał Dziwisz, Ewa Kaim
fot. Zbigniew Łagocki

■ Hemara wdzięk

Nie tylko wpadające w ucho melodie, ale dobry tekst, wyróżniający piosenki spośród masowej przedwojennej produkcji szlagerów o miłości, stanowią o niepowtarzalności talentu Mariana Hemara. Często jego utwory to nie zwykłe piosenki, ale krótkie i dowcipne „utwory dramatyczne do śpiewania”. Tę cechę jego twórczości wykazuje spektakl „Perły kabaretu Mariana Hemara” przygotowany na Scenie Pod Ratuszem Teatru Ludowego w Krakowie.

Bezpretensjonalność, dobry głos - lub umiejętność jego naśladowanie - oraz poczucie humoru, dystans w stosunku do siebie i opowiadanej anegdoty - to cechy niezbędne w kabarecie. I są nimi - na

szczęście - obdarzeni aktorzy, którym akompaniuje zespół pod wodzą Jerzego Klusowicza. Pewien zgrzyt wprowadza konferansjerka prowadzona przez reżysera Janusza Sztylowskiego, który momentami jest bardziej ciki niż dowcipny. Oczywiście trudno spodziewać się, że na piwnicznej scenie ni z tego, ni z owego pojawi się następca Fryderyka Jarossy'ego. Konferansjerem trzeba się po prostu urodzić - tego się nie da nauczyć.

Poza tym jednak widzowie mogą się delectować takimi perełkami wokarno-aktorskimi, jak piosenka o uroczym hiszpańskim hipokrycie (w wykonaniu Marty Bizoni), wyznania słodkiej kobietki, z prawdziwym bólem urodzącej męża przyjaciółki (Ewa Kaim), czy dramatyczny opis konsternacji gospodarza przyjęcia, który dowiaduje się, że wśród jego gości „każdy z każdym kiedyś był żonaty” (Jacek Romanowski). Słynny szlager „Nie będziesz ty, to będzie inna” przypadł w udziale obdarzonemu urodą przedwojennemu amantowi Rafałowi Dziwiszowi, który wywiązał się z tego zadania znakomicie. Większość piosenek prezentuje życie rodzinne, towarzyskie i uczuciowe w tonacji bardzo mało serio, a uproszczona scenografia Elżbiety Krywskiej stanowi tło dla zagranych z wigorem farsowych epizodów. Nie mogło jednak zabraknąć - wyciskającego z oczu nie tylko przedwojennych piękności - lirycznego wyznania „Nikt, tylko ty”, zaśpiewanego przez Bożenę Krzyżanowską. Mówiąc krótko - znacie czy nie znacie, to posłuchajcie. W dobrym wykonaniu.

Niedawne otwarcie ślicznej sali „Reduty” przy ulicy św. Jana, jak też pierwsze programy artystyczne pokazywane w tym miejscu – przypomnieli nie tylko cienie ongiś występujących tu Padereńskiego, Modrzejewskiej czy teatru Jaremy, ale także krótka i burzliwa historia drugiego polskiego kabaretu o nazwie „Figliki”. W tym miejscu przecież Szyfman prowadził tę trupę, znacznie mniej dziś pamiętaną od konkurencyjnego „Zielonego Balonika”... Pochyliwszy się w zadumie nad „Figlikami”, dawno zasypały kurzem historii – zacząłem od niechcenia liczyć dzisiejsze krakowskie kabarety.

Najbliżej „Reduty”, w gmachu narodził się św. Jana i Rynku, na pierwszym piętrze – usadowił się lokal Jana Pietrzaka. Jakby w rewanżu za Szyfmana, przed wiekiem prawie eksportowanego z Krakowa do Warszawy – Janek pojawił się w Krakowie wraz ze swym dorobkiem czołowego ongiś twórcy kabaretu politycznego (a także ze smykałką handlową). W „Feniksie” możemy od kilku lat kupować przywożone przez szefa relikwiarze artystyczne. Pechowo się złożyło, iż sam Pietrzak ostatnimi laty zajęty najwyraźniej czymś innym, niż kabaret – nie dał krakowskiej publiczności obrazu swego prawdziwego dorobku i talentu. Niemniej publiczność zyskała: ludzie odwiedzają jego kawiarnię, by się posmiać i by się spotkać z gwiazdami i gwiazdkami, znanymi z telewizyjnego ekranu. Z krakowskiego punktu widzenia najciekawsze są wszakże „występy gościnne”. Poza przeglądem różności – salka Pietrzaka daje przecież jedyną bodaj możliwość nacieszenia się sztuką rozsiewania, jaką posiadli Krzysztof Piasecki czy Marcin Daniec. Te bardzo popularne postaci kabaretu „estradowego” w swym rodzinnym mieście najczęściej dostępne są właśnie tu.

Wszelako pojęcie „kabaretowości” uległo dziś znacznemu wzbogaceniu. W Krakowie widać to najwyraźniej. Obok składanki satyrycznej a la Pietrzak – mamy tu przecież do dyspozycji także „kabaret artystyczny”, czyli z za-

Jan Poprawa

Kabaret widzę ogromny

łożenia półimprowizowaną zabawę twórców z najprzeróżniejszych dyscyplin. Mamy „kabaret aktorski”, opierający się na interpretacjach, parodiach, scenkach. Mamy kabaret „teatralizowany”, w najróżniejszym języku scenicznym kreowany. Na dobrą sprawę do wypełnienia wszystkich odmian sztuki kabaretowej – brakuje dziś w Krakowie rewii, a także marginalnie pojawiających się zjawisk „pantomimy kabaretowej” (którą z powodzeniem uprawia Ireneusz Krosny z Tych) oraz „kabaretu instrumentalnego” (zabawnie proponowanego przez warszawską „Grupę Mo Carta”)...

Ulica św. Jana jest dziś centrum krakowskiego życia kabaretowego. Poza wspomnianym przytuliskiem przyjaciół Jana Pietrzaka – w piwnicy „Pod Wyrwigroszem” działa zabawny kabaret pod tą samą nazwą. Młodzi aktorzy rozsiewają w nim przede wszystkim najlepiej opanowaną sztuką parodii. Talenty p.p. „Rybarskiego czy Szawuła” są gwarancją świetnej zabawy i zapowiedzią rychłego sukcesu. Życzę go aktorskiej młodzieży, wspieranej przez doświadczonych pianistów i szefa muzycznego Pawła Bieńkowskiego.

O kabarecie jedyne dziś kontynuatora Piotra Skrzyneckiego – Kazimierza Madeja, mieszczącym się w gościnnej piwnicy pana Jacka Łodzińskiego „Loch Camelot” pisał niejednokrotnie. W bezpośredniej bliskości św. Jana, w tzw. „zaulku niewiernego Tomasa” program zmienia się nieustannie, pojawiają się nowe twarze. W minionym tygodniu z przyjemnością odnotowałem występ tegorocznej absolwentki PWST, wielce utalentowanej Olgi Adamskiej. Bardzo dobrze warunki, bardzo staranne przygotowanie. Czy p. Adamska zostanie kolejną kabaretową

gwiazdą? Ma po temu możliwości, jeśli tylko starczy jej chęci...

W niedzielę zacząłem bywać w „Jagiellońskiej”. Tam bowiem znalazł pomieszczenie zespół przedziwny: „Chatelet”. Wspominałem już w „Sezonie 3” o premierze drugiego programu tej czteroosobowej grupy, założonej przez nauczyciela i uczniów. Tak właśnie: Krzysztof Niedźwiedzki uczył ongiś Adama Grzankę, Adama Malczyka i Pawła Rybaka w XVI Liceum w Krakowie. Gdy uczniowie stali się poważnymi studentami, zaś Krzysztof uwolnił się od pedagogicznych obowiązków – wspólnie wykreowali „formację”, z której „zaszufladkowaniem” mają kłopot recenzenci. Najczęściej opisuje się „Chatelet” przez porównanie z teatrem Schaeffera, zwłaszcza popularnym „Kwartetem”. „Chatelet” praktycznie ogranicza się do gadania, nie używa piosenki (tak ważnej w innych programach kabaretowych), nie sili się na scenografię. W małej przestrzeni piwnicy „Jagiellońskiej”, otoczony tłumem gapiów – rozgrywa kwartet swój absurdalny czterogłos, bawi półimprowizowanymi sytuacjami. Teksty ma bardzo inteligentne, efekt zaś osiąga zdumiewający: dawno nie widziałem klienteli kabaretowej dosłownie skręcającej się ze śmiechu... To prawdziwe odkrycie „kabaretowego Krakowa” A.D. 1997!

Podczas niedawnej premiery drugiego programu „Chatelet” spotkałem Krzysztofa Janickiego. Przypomniało mi to jego kabaretowy spektakl „Po czym poznać łyżkę stołową z bliska”, zrealizowany pod szyldem nieocenionego Teatru KTO. „Łyżka” grana jest ostatnio w „Piwnicy pod Baranami” (całe szczęście, dzięki temu historycznego wnętrza nie wypełnia jeno smutek, lecz także śmiech). Obok aktorów

KTO (z przezabawnym p. Wąsikiem) gościnie grają młodzi aktorzy p.p. Wójcik i Łomnicki, a także sam autor – p. Janicki. Po przydługiej nieco wersji premierowej przedstawienie (bo jest to rodzaj kabaretowo-teatralnej inscenizacji) nabrało tempa, dzięki absurdalno-surrealistycznej atmosferze zyskało wiernych wielbicieli. To także poważne osiągnięcie kabaretów krakowskich roku mijającego.

A skoro przy inicjatywach kabaretowo-teatralnych jesteśmy to przecież nie możemy zapomnieć o niezłej passie Teatru Ludowego w jego małej, ratuszowej salce. Co prawda w kolejnej edycji „serialu kabaretowego” brakło reżysera, ale przecie kilka innych programów zasłużyło na pochwałę. P. Szydłowski z Londynu przypomniał – za pośrednictwem kilkorga uzdolnionych aktorów śpiewających, z Jackiem Romanowskim i Ewą Kaim na czele – stare piosenki Mariana Hemara. Piosenki ongiś kabaretowe, dziś złożyły się na wieczór prawdziwie sentymentalny, którego nawet nie popsuka konferansjerka słodsza od sztucznego miodu. Tak, w Ratuszu wyrosła scenka „parakabaretowa” na zupełnie przyzwoitym poziomie.

Ostatnio największym zaskoczeniem była dla mnie jednakże „Grupa Rafała Kmity”. Najnowsza premiera tego kabaretu pt. „Wszystcyśmy z jednego szynela” została wielokrotnie pochlebnie opisana, także na tych łamach. W miniony wtorek słyszałem „Pieśni z szynela”, czyli kilkanaście piosenek Kmity złączonych w całość inteligentnym monologiem. Piosenki – palce liść! Właśnie najnowsze nabytki Kmity, studenci PWST Sonia Bohosiewicz i Andrzej Kozłowski śpiewają świetnie. O p. Soni śmiało powiedzieć moge – to dziś jedna z najświetniejszych znanych mi aktorek

Sezon (5)

śpiewających jej pokolenia! „Grupa Rafała Kmity” gościnie występuje w Teatrze STU. Zobaczcie koniecznie!

Polecić mógłbym jeszcze niejedno kabaretowe przedsięwzięcie. Na przykład Maćka Stuhra kabaret „Po Żarcie”. Ale – wybaczenie starcze gapiostwo – nie wiem, gdzie mógłbym ewentualnego widza skierować. Może do „Rotundy”? Ta w każdym razie dostarcza wciąż przyjemności miłośnikom kabaretu młodzieżowego. Nie ogranicza się do roli organizatora „PaKI” – największego polskiego przeglądu kabaretowego, lecz przygotowuje najrozsądniejsze „pojedynki kabaretów” itp., także dla potrzeb telewizji.

A skoro o telewizji mowa – to na koniec tego przydługiego artykułu koniecznie powiedzieć trzeba kilka słów o Krzemionkach jako popularyzatorze i kreatorze kabaretowych (i podobnych) wydarzeń. „Spotkanie z balladą” obchodzi właśnie jakąś okrągłą rocznicę czy jubileusz. Niestety – dzisiejsze edycje tej popularnej telewizyjnej audycji rozrywkowej są lotne jak beczkowóz, zakrzyczane przez tłumy drugorzędnych aktorów, niedowcipne. Na szczęście możemy czasem pobawić się pomysłami p.p. Stuhra (starszego) i Sobczuka (starszego), z lat ich młodości – czyli reedycją dawnych, czarno-białych „ballad”. Ech, iza się kręci...

Wszelako Telewizja Krzemionki odgrywa wielką i nieocenioną rolę. Głównie za sprawą niedysyjszego gwiazdora kabaretu „Protekt”, dziś redaktora Krzysztofa Haicha. To on stworzył piętkowy magazyn kabaretowych drobniactw, on pilnie rejestruje wszystkie krakowskie nowalijki kabaretowe. Najwyższy czas Krzysia za tę mrówczą i pożyteczną robotę pochwalić. Brawo!

Nie wymieniłem w tym spisie inwentaryzacyjnym krakowskiego kabaretu kilku miejsc i trup *minorum gentium*. Nie wspomnieliśmy też o ludziach z dawnej „Piwnicy”. O nich – przy kolejnej okazji. Temat to duży i niekoniecznie wesoły. A przecież zakończyć tekst o kabaretach koniecznie trzeba czymś wesołym.

Wesołych Świąt!

Strof Hemara czar

Byłoby wręcz nieprzyzwoitością pisać o tekstach Hemara – analizować je. Bronią się same. A wszystko zależy tylko od wykonawcy, gdyż jak wiadomo, zły wykonawca położy najlepszy nawet tekst

Z tym większą więc niecierpliwością oczekiwałem występów grupy krakowskich aktorów, którzy zaprezentowali w POSK-u program „Perły kabaretu Hemara”. Odniósł on ponoć wielki sukces w nadwiślańskim grodzie. I słusznie, gdyż przedstawienie to było dynamiczne, starannie i precyzyjnie opracowane. Teksty powiązane były ze sobą w logiczny, a jednocześnie urozmaicony, pełen kontrastów, sposób. Tak więc scenki żartobliwe przeplatały się z piosenkami lirycznymi, etc.

Na początku znalazł się skecz muzyczny „Skargi małżeńskie”, czyli: „...Mąż mój najlepszą ma na świecie żonę...”, a później wiele jakże znanych utworów, wśród nich „Pierścionek”, który „był szczerzoty, cudownej roboty. Wczoraj się tak cieszyłam. W nocy z nim spałam, rano go miałam, a potem go zgubiłam...” Nie obyło się bez „Spotkania w cukierence”, czy znakomitej „Przyjaciółki”. Nie zabrakło piosenki o spotkaniu z pewnym dziwakiem – „I poszedł”, który: „Powiedział mi że, powiedział, że chce, powiedział, że mnie i poszedł”. I jeszcze lament żony, czyli „Figaro” z muzyką Rossiniego, w którym bohaterka żali się:

„Ja długo umiem cierpieć, jak w cyrku jakiś clown!

Aż kiedyś to musi nastąpić, ten nervous break-down!

Psychiczny lęk, co tak napiera, jak wrzód, tak napiera aż pęk!

Żona jak trusia, żona u garnka, żona po schodach w górę i w dół!

Żona praczusia, żona kucharka, żona jak w jarzmie roboczy wół!

To umyj statki, to daj mu herbatki, to pościel mu łóżko,

to nakryj mu stół!...”

Nic dziwnego, że po takim potoku narzekań przerażony mąż wyskakuje przez okno. Szkoda, że zamiast popelniać taki czyn, nie rozwiódł się, tak jak ma to miejsce w „Permutacjach małżeńskich”, gdzie:

„Lidka była trzecią żoną Stasia

A trzecią żona Misia była Hela

A Dzidka była trzecią żoną Jasia

A trzecią żoną Rysia była Hela

A czwarta żona Jasia - właśnie Fela

Pół roku temu była z Misiem

I dla Misia przecież się rozwiodła z Rysiem...”

Większość z tych utworów mieliśmy okazję usłyszeć ponownie, już po śmierci Hemara, w dwóch przedstawieniach reżyserowanych przez Władę Majewską: „Perły kabaretu Hemara” (1980) i „Powróćmy jak za dawnych lat” (1988). I teraz właśnie przypomniał je Janusz Sztybelowski ze swoim zespołem. Sześciuosobowa grupa wykonawców podobała się ze względu na młodość, talenty, temperament i spontaniczność. Trzy piękne wykonawczynie: Marta Bizon, Ewa Kaim i Bożena Krzyżanowska. Towarzyszył im tercet panów: Rafał Dziwisz, Jacek Romanowski i Janusz Sztybelowski, który również całość reżyserował. Na szczególną uwagę zasługiwały wspaniałe, barwne kostiumy, a także rozwiązania choreograficzne Jacka Tomasika oraz scenograficzne Elżbiety Krywsza. Wszystko stylowe i eleganckie.

Wykonawcom akompaniował świetny, czteroosobowy zespół muzyczny pod kierownictwem Jerzego Kluzowicza. Interesująco i świeżo brzmiał akompaniament do dawnych, znanych nam wszystkim utworów. I jakże odmienna, nie stereotypowa ich interpretacja. Okazuje się, że Hemar może brzmieć nowocześnie, a zaprezentowane w przedstawieniu teksty nie zestarzały się. Był to barwny, lekki i żywy spektakl.

DZIENNIK POLSKI

31-072 KRAKÓW

ul. Wielopole 1

147 26 - 06 - 97
Nr z dn

26

DZIENNIK POLSKI

9

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Hemar bez orła

Kultura

Wstałem jak zwykle wcześniej, starym zwyczajem nastawiłem kawę, po czym znowu popełniłem ten sam błąd. Włączyłem radio mianowicie. Włączyłem i usłyszałem to, co zwykle. Dorodna blondynka - wiem, bo widziałem w telewizji - starym zwyczajem swoim, czyli z uporem zapiekłej maniaczki ornitologii, poinformowała mnie, że widziała orła cień, co wzbili się. Wyłączyłem. Wyłączyłem też, gdy artysta sugeruje, że ani me, ani be, ani kukuryku. Albo gdy kury pieją, bo nie mają koguta. Wyłączam tym bardziej. To już lepszy cień orła w garści, niżli kura bez koguta. Generalnie jednak wyłączam zawsze, gdy coś się wzbija za nadto.

Chodzi bowiem o to, że aby się wzbilić - trzeba wiedzieć po co? Żeby latać - trzeba wiedzieć jak. Jak - Marian Hemar.

Przyjemny wieczór z piątku na sobotę. W piwnicach Wieży Ratuszowej kolejny wieczór kabaretowy Teatru Ludowego. Dobry, profesjonalny, pełen skromności reżysersko-aktorskiej. Wieczór humoru, lekkiej nostalgii i zawsze pożądanej w teatrze świadomości, że wedle stawu grobla, nie zaś odwrotnie. Inaczej jeszcze całosc ujmując - osiemdziesiąt minut dbałości o ten niepowtarzalny rodzaj kruchości, którym są poetycko-muzyczne drobiazgi Hemara. A przecież - co się Ludowemu ostatnimi czasy często gęsto udawało, niestety - na całosc mogli pójść! Mogli rzucić się w wir miłośnicwie panującego nam topornego pastiszu, który uwielbia zmieniać to, co pokazuje, w królestwo żenujących jaj scenicznych, w robienie z tata-wariata. Stokrotnie dzięki Ludowemu, że nie poszedł i się nie

rzucił. Że pozostał w złotym środku. Rzecz czyta z Hemara była Hemarem, a nie głupawo mędrkującym dystansikiem do Hemara, wspartym na głębokiej znajomości - dajmy na to - Homera.

Artyści byli w piosenkach, a nie obok. Pyszna dla oka czystość kostiumów, światła i scenografii nie epatowała tzw. braniem w nawias. Aktorzy nie dobijali widza udawaniem, że „I” przedniojęzykowożebowe jest dla nich bułką z masłem, oraz że dojmującą nosowość samogłosek nosowych wynieśli z domu. I nawet dusza przedsięwzięcia - występujący w roli narratora scenarzysta i reżyser Janusz Szydlowski - jakoś nie raził fundamentalną koturnowością brzmienia. Marta Bizoń i Ewa Kaim po raz kolejny dały szereg poważnych powodów do ponownego przemyślenia jednego z przykazań, Jacek Romanowski zaś - wspaniale bawił nas i siebie.

Miły wieczór, kawałek przyzwoitego teatru. Wieczór, którego jedyną ambicją było - sprawić przyjemność zgromadzonej przy stolikach ludności. Udało się. Dwie zatem refleksje na koniec.

Dyrektor Jerzy Fedorowicz, przynajmniej w stosunku do mnie nieustannie szarmancki, wciąż w oparach złośliwej, ale delikatnej ironii, lubi tłumaczyć sceniczne wpadki - jakowąś koniecznością. Że niby było, jak było, gdyż inaczej się nie da. Otóż - da się. Co widać na załączonym obrazku.

Po drugie zaś - odrobina smutku. Małego i banalnego, ale jednak. Hemarów dziś, co kot napłakał, na dobrą sprawę - w ogóle ich nie ma. Z dnia na dzień coraz żałośniejsi. Płasko, tandetnie, bez wdzięku, ma-

ło dowcipnie, z ołowianą lekkością i inteligencją kur, które pieją, bo nie mają koguta. Również w piosence. Rzecz jasna, poetyka orlego cienia nie jest jeszcze totalnie obowiązująca, ale jednak za dużo jej.

Na smutno więc opuszczałem piwnice Wieży Ratuszowej. Nie dość, że przyjemność się skończyła, to lato niemiłosiernie. Była północ. Tuż przy Siennej kolejny cień nieśmiertelnego polskiego orła się snuł. Oto owinięty przeróżnymi ceratami scenograf Krzysztof Tyszkiewicz trenował z grupą kilkudziesięciu zmokłych jak kury nieszczęśników to, co odbyć się miało - w ramach wstrząsającego projektu „Kraków 2000” i wedle pomysłu Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz - za godzin dziewiętnaście. Chodziło o projekt: „Przemarsz Królów na Wawel”. Oto z piątku na sobotę, tuż po uroczych chwilach z Hemarem, widzę ci ja grupę przytwierdzonych do szczudeł, stąpających po mokrych dechach, zaspanych młodzieńców, którzy próbują się nie zabić. Nie wiem, jak skończyła się ta północna niedorzeczność, albowiem - gdy runął szczudlarz pierwszy - udałem się w spokoju do domu. Na końcu Siennej usłyszałem kolejny łomot. Nie było wątpliwości. Gdy w grę wchodzi orzeł - Polak nie popuszcza nawet w deszczu. I nawet pod wiatr.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Ludowy Scena Pod Ratuszem.
„Perły kabaretu Mariana Hemara”.
Scenariusz i reżyseria - Janusz Szydlowski, scenografia - Elżbieta Krywsza, choreografia - Jacek Tomasik, opr. muzyczne i aranżacja - Jerzy Kluzowicz.